

**Joanna
CHMIELEWSKA**



**WSZYSTKO
CZERWONE**


KLIN

Joanna
CHMIELEWSKA

WSZYSTKO
CZERWONE



Redakcja: Ewa Kłosiewicz
Korekta: Małgorzata Kot
Projekt okładki: Natalia Smoleń
Zdjęcie autorki: Witold Gawliński

Copyright by
Wydawnictwo Klin, Warszawa 2015

ISBN 978-83-62136-76-6

Wydawnictwo Klin
ul. J. Sobieskiego 10 m 72
02-957 Warszawa
tel. +48 501 686 786
e-mail: m.g.klin@op.pl
www.wydawnictwoklin.pl

SPIS OSÓB ŻYWYCH, MARTWYCH I POSZKODOWANYCH

1. ALICJA — wstrząsająco gościnna pani domu.
2. ZOSIA — przyjaciółka Alicji, zaproszona do niej na nudny urlop.
3. PAWEŁ — syn Zosi, młodzieniec po maturze, zaproszony na wakacje.
4. EDEK — dawny wielbiciel Alicji, zaproszony na później.
5. LESZEK — przyjaciel Alicji, przybyły bez zaproszenia.
6. ELŻBIETA — córka Leszka, samodzielna młoda dama, bawiąca przejazdem.
7. EWA — piękna kobieta, zamieszkała na stałe w Danii, żona Duńczyka.
8. ROJ — mąż Ewy, nadludzko wielbiący żonę.
9. ANITA — dziennikarka przystosowana do urozmaiconego życia.
10. HENRYK — duński mąż Anity, człowiek anielsko spokojny.
11. PAN MULDGAARD — duński policjant, mówiący po polsku.
12. KAZIO — ofiara uczuć do Elżbiety.
13. FACET W CZERWONEJ KOSZULI — postać tajemnicza, płacząca się po wydarzeniach.

14. WŁODZIO — przyjaciel Alicji, zaproszony ogólnie.
15. MARIANNE — szwajcarska żona Włodzia, zaproszona z nim razem.
16. AGNIESZKA — antagonistka Elżbiety, zaproszona z konieczności.
17. CIOTKA — duńska staruszka, obdarzona nadmiarem wigoru, wcale nie zapraszana.
18. KANGURZYCA — idiotka z Australii, objawiająca się tylko telefonicznie w niewłaściwych chwilach.
19. GRETA — duńska kuzynka Alicji, budząca kontrowersyjne zdania.
20. BOBUŚ — dawny przyjaciel, później wróg Alicji, przybyły z Anglii.
21. BIAŁA GLISTA — flama Bobusia, przybyła z Polski.
22. PANI HANSEN — sprzątaczką Alicji, niewinna ofiara nazwiska.
23. THORSTEN — siostrzeniec Alicji, młodzieniec niezwykle sympatyczny.
24. OBCY CZŁOWIEK, PRZYPADKOWO WIEZIONY NA ŁEBKA.
25. LILIAN — znajoma Alicji, kobieta rzadkiej urody.
26. HERBERT — syn przyjaciół Alicji, zesłany z nagłą przez Opatrzność.
27. ANNE LIZE — żona Herberta.
28. AUTORKA — przyjaciółka Alicji, zaproszona wcześniej.

— Allerød to wcale nie znaczy „wszystko czerwone” — powiedziała z niezadowoleniem Alicja. — Nie wiem, skąd ci taki idiotyczny pomysł przyszedł do głowy.

Były to niemal pierwsze słowa, jakimi powitała mnie, kiedy wysiadłam z pociągu w Allerød. Stałyśmy przed stacją i czekałyśmy na taksówkę. Gdyby umiała przewidzieć najbliższą przyszłość, zapewne zaprotestowałyby przeciwko tłumaczeniu znacznie gwałtowniej.

— Tylko co? — spytałam — „Rød” to jest czerwony, a „alle” to wszystko.

— Można wiedzieć w jakim języku?

— Pośrednim, między niemieckim i angielskim.

— A, pośrednim... Słuchaj no, co ty masz w tej walizce?!

— Twój bigos, twoją wódkę, twoje książki, twój wazonik, twoją kielbasę...

— Swojego nic nie masz?

— Owszem, maszynę do pisania. „Rød” to jest czerwony i koniec, postanowiłam!

— Nic podobnego. „Rød” to jest takie coś jak poręba. Taki wyrębany las. Takie coś w tym rodzaju, takie że rosło, usunęli i nie ma.

Nadjechała taksówka i przy pomocy kierowcy upchnęliśmy się w środku razem z moimi bagażami na te trzy minuty drogi, której przebycie piechotą potworny ciężar walizki całkowicie wykluczało. Nie przestałam upierać się przy swoim.

— „Rød” to jest czerwony i wszyscy o tym wiedzą, a o porębie nikt nie słyszał. Skoro usunęli i nie ma, to nie ma o czym mówić. Allerød to jest wszystko czerwone...

— Sama jesteś czerwona. Sprawdź sobie w słowniku i nie mów bredni — zirytowała się Alicja.

Była w ogóle wściekła i zdenerwowana, co rzucało się w oczy. Nie zdążyłam się dowiedzieć dlaczego, bo całą drogę zajęło nam wszystko czerwone, potem zaś okazało się, że w domu kłębi się tłum ludzi i nie ma żadnej możliwości spokojnie porozmawiać, szczególnie że wszystkim czerwonym w mgnieniu oka zaraziłam całe towarzystwo. Tłumaczenie, ku wzmożonej furii Alicji, znalazło powszechne uznanie.

— Rozłokuj się, umyj, rób, co chcesz, tylko nie zwracaj mi teraz głowy — powiedziała niecierpliwie. — Zaraz przyjdzie reszta gości...

Bez zbytniego trudu pojęłam, że trafiłam do Allerød akurat na zebranie towarzyskie średnich rozmiarów, dość długo jednak nie mogłam się zorientować, kto jest gościem stałym, a kto chwilowym. Informacji udzielił mi Paweł, syn Zosi, naszej wspólnej przyjaciółki, która stanowczo odmówiła konwersacji z kimkolwiek, do nieprzytomności zaabsorbowana przygotowaniem odpowiednio wytwornego posiłku.

— Jak myśmy przyjechali, to Elżbieta już była — powiedział. — I jest. Edek przyjechał zaraz po nas, trzy

dni temu, a Leszek dzisiaj rano. Z wizytą przychodzą cztery sztuki, Anita z Henrykiem i Ewa z tym, jak mu tam, Rojem. Alicja jest wściekła, matka jest wściekła, a Edek jest pijany.

— Bez przerwy?

— Zdaje się, że tak.

— A ta sodoma i gomora dzisiaj to z jakiej okazji?

— Oblewanie lampy.

— Jakiej lampy?!

— W ogrodzie. To znaczy na tarasie. Alicja dostała ją w prezencie imieninowym od Jensa czy kogoś tam innego z rodziny i musiała zainstalować. Duńskie oblewanie już było, dzisiaj jest nasze, rodzime...

Reszta gości przybyła i z zaciekawieniem przyjrzałam się Ewie i Anicie, których nie widziałam prawie dwa lata. Obie wypiękniały. Anita była bardzo opalona, Ewa przeciwnie, zrobiona na blado, tak że drobna, szczupła Anita z wielką szopą czarnych, kędzierzawych włosów robiła przy niej wrażenie Mulatki. Jej mąż, Henryk, zazwyczaj spokojny i dobroniosny, wydał mi się jakby z lekka zdenerwowany. Roj, mąż Ewy, wysoki, chudy, bardzo jasny, błyskał w uśmiechu pięknymi zębami i patrzył na żonę jeszcze czulej niż przed dwoma laty. Pomyślałam sobie, że widocznie Ewa pięknieje w atmosferze tkliwych uczuć, Anita zaś w atmosferze zdenerwowania i awantur.

Uroczystość w pełni rozkwitu przeniosła się po kolacji na taras. Obiekt kultu świecił czerwonym blaskiem na wysokości nieco mniej niż metr, oświetlając wyłącznie nogi siedzących wokół osób. Wielki, płaski klosz, z wierzchu czarny, nie przepuszczał najmniejszego promyka, tak że głowy i popiersia tych osób tonęły

w głębokim mroku, za ich plecami zaś panowała ciemność absolutna. Samotne, wyeksponowane, purpurowe nogi, pozbawione swoich właścicieli, wyglądały nieco dziwnie, ale nawet dość efektownie.

Po namyśle doszłam do wniosku, że ta osobliwa instalacja miałaby swój głęboki sens, gdyby Alicja bodaj przez chwilę posiedziała pod lampą w gronie gości. Nogi miała najlepsze ze wszystkiego i powinna je pokazywać przy każdej okazji, któż inny bowiem miał to czynić? Zosia, Anita i Elżbieta były w spodniach. Ewa miała kieckę prawie do kostek i wysokie lakierowane buty, pozostawiałam ją, ale na mnie jedną marnować całą lampę to doprawdy zbyt duża rozrzutność! Alicja stanowczo powinna...

Alicja jednak bez chwili przerwy krążyła pomiędzy kuchnią a tarasem, z masochistycznym uporem obsługując towarzystwo. Złapałam ją w drzwiach.

— Usiądź wreszcie, na miłosierdzie pańskie — powiedziałam ze zniecierpliwieniem. — Niedobrze mi się robi, jak tak latasz. Wszystko jest, a jak będą chcieli jeszcze czegoś, to sami sobie wezmą.

Alicja usiłowała wydrzeć mi się z rąk i oddalić w kilku kierunkach równocześnie.

— Sok pomarańczowy jest w lodówce — pomamrotała półprzytomnie.

— Ja przyniosę — zaofiarował się Paweł, który nagle zmaterializował się w mroku obok nas.

— No widzisz, on przyniesie. Usiądź wreszcie, do wszystkich diabłów!

— Otworzy lodówkę i będzie się gapił... No dobrze, przyniesie, tylko nie zagładał do środka!

Paweł błysnął w ciemnościach spojrzeniem, które miało jakiś dziwny wyraz, i zniknął w głębi mieszkania. Oprócz czerwonego kręgu pod lampą świeciło się tylko światło w kuchni, za zasłoną, spoza której padał niekiedy blask na pokój. Reszta tonęła w czerni.

Zawlokłam Alicję na taras i upchnęłam w fotelu, zaintrygowana uwagą.

— Dlaczego miałby się gapić do lodówki? — spytałam z zainteresowaniem, siadając obok. — Masz tam coś takiego...?

Alicja z westchnieniem wyraźnej ulgi wyciągnęła nogi i sięgnęła po papierosy. Pomiedzy fotelami stały rozmaite przedmioty, służące jako podręczne stoliki.

— Nic nie mam — odparła niecierpliwie. — Ale jej nie wolno otwierać na długo, bo potem zaraz trzeba rozmrażać. Trzeba sięgnąć i wyjąć. A on otworzy i będzie się przyglądał, i będzie szukał tego soku...

Z mroku wynurzyły się nagle nogi Pawła, pod lampą zaś pojawiła się jego ręka z butelką mleka.

— Coś ty przyniosł? — powiedziała z niezadowoleniem Zosia. — Paweł, nie wygłupiaj się, czekamy na sok pomarańczowy!

— O rany — zmartwił się Paweł. — Nie trafiłem. Alicja kazała nie patrzeć.

— Nie, nie patrzeć, tylko spojrzeć i wyjąć — powiedziała Alicja, usiłując się podnieść. — Mówiłam, że tak będzie!

— Mówiłaś, że będzie odwrotnie. Siedź, do diabła!

— Siedź — poparła mnie Zosia. — Ja przyniosę.

— Nie — zaprotestował Paweł. — Już teraz trafię, tam nie ma dużego wyboru.

— Zostawcie to mleko, Henryk się chętnie napije!
— zawołała Anita.

— Jak te twoje klamerki pięknie wyglądają w tym świetle — mówiła równocześnie Ewa. — Jak rubiny...

W cichym zazwyczaj i spokojnym domu w Allerød panowało pandemonium. Jedenaście osób miotało się wokół czczonej lampy i w czarnej przestrzeni między kuchnią i tarasem. Z uwagi na obecność dwóch tubylców, Roja i Henryka, rozmowy toczyły się w kilku różnych językach jednocześnie. Nie mogłam pojąć, komu i jakim sposobem udało się doprowadzić do takiego najazdu, i wykorzystując panujący hałas, spróbowałam uzyskać od Alicji jakieś informacje.

— Upadłaś na głowę i specjalnie zaprosiłaś wszystkich na kupę, czy też to jest jakiś kataklizm? — spytałam półgłosem, nie kryjąc dezaprobaty.

— Kataklizm! — zdenerwowała się Alicja. — Nie żaden kataklizm, tylko każdy uważa, że ma prawo do fanaberii! Ja miałam rozplanowane po kolei, ale im akurat tak było wygodnie! Teraz jest kolej na Zosie i Pawła i tylko oni przyjechali we właściwym czasie. Edka przewidywałam na wrzesień, a ty, nie wymawiając, miałaś przyjechać w zeszłym miesiącu! Co jest teraz?

— Środek sierpnia.

— Właśnie! Miałaś przyjechać w końcu czerwca.

— Miałam, ale nie mogłam. Zakochałam się.

— A Leszek...

Alicja nagle urwała i spojrzała na mnie ze zdumieniem widocznym nawet w ciemnościach.

— Co zrobiłaś?! — spytała, jakby nie wierząc własnym uszom.

— Zakochałam się — wyznałam ze skrucą.

— Mało ci było...?! Zwariowałaś?!

— Możliwe. Co ja ci na to poradzę...

— W kim?!

— W jednym takim. Nie znasz człowieka. Zdaje się, że to właśnie ten blondyn mego życia, którego mi wrózka przepowiadała. Bardzo długa historia i kiedy indziej ci opowiem. A Leszek i Elżbieta skąd?

— A Leszek... Czekaj, a on co? Z wzajemnością się zakochałaś?

— Chyba tak, chociaż nie śmiem w to wierzyć. Wiesz, że ja mam pecha. A Leszek i Elżbieta?

— A Leszek... Czekaj, i co? Odkochałaś się i dlatego teraz mogłaś przyjechać?

— Przeciwnie. Ugruntowałam się w uczuciach i dlatego teraz mogłam przyjechać. A Leszek i Elżbieta?

— Kto to taki?

— Na litość boską, nie znasz Leszka i Elżbiety? Ojciec i córka, tu siedzą na twoich oczach. Krzyżanowscy się nazywają...

— Idiotka. Ten twój, pytam, kto to taki. Leszek akurat przybił jachtem na kilka dni, a Elżbieta przyjechała oddzielnie z Holandii. Też tylko na kilka dni, w przyszłym tygodniu jedzie do Sztokholmu. Możliwe, że popłynie z ojcem, nie wiem. Ścisłe biorąc, wcale ich nie zapraszałam. Gdybym ich mniej lubiła, trafiłby mnie szlag.

— A dlaczego Edek przeniósł się z września na teraz? Ja przynajmniej mam powód, a on?

— A on podobno ma mi do powiedzenia coś niesłychanie ważnego i pilnego, z czym nie mógł pocze-

kać. Od trzech dni nie miał okazji wyjaśnić, o co mu chodzi.

— Dlaczego nie miał okazji?

— Bo mu się nie udało wytrzeźwieć...

Z mieszanymi uczuciami przyjrzałam się wyciągniętym nogom Edka. Siedział w fotelu odsuniętym nieco dalej od lampy i w purpurowym świetle widoczne były tylko jego buty i nogawki spodni do kolan. Buty i nogawki trwały spokojnie i nie robiły wrażenia pijanych, ale wiedziałam, że w tym wypadku pozory mają wszelkie prawo mylić. Podstawową czynnością Edka przez całe niemal życie było nadużywanie alkoholu i tylko dlatego Alicja zrezygnowała swymi czasy z młodzieńczych uczuć i trwalszego związku, poprzestając na miłej przyjaźni. Być może teraz uczucia zaczynały się odradzać...?

— Nadal tak chla? — zaciekawiałam się, bo Edek interesował mnie także z innych względów. — Nie przeszło mu?

— A skąd! Połowę tego, co przywiózł, zdążył już sam wytrąbić!

Od śmierci Thorkilda minęło już tyle czasu, że właściwie Alicja miała prawo zainteresować się kimś innym. Jeśli jednak te promile Edka zraziły ją przed laty, to niby dlaczego miałyby przestać razić ją teraz? Co prawda, zawsze miała do niego słabość... Wszystko jedno zresztą, słabość i promile to jej prywatna sprawa, ja miałam inny powód do interesowania się Edkiem. Bardzo mi zależało na tym, żeby bodaj na chwilę wytrzeźwiał.

Usiłowałam jeszcze spytać Alicję, czy nie domyśla się, co też takiego ważnego Edek chciał jej powiedzieć,

ale to już było niewykonalne. Zanim zdążyłam zaprotestować, opuściła fotel koło mnie i znikła w mroku. Paweł i Zosia ciągle jakoś nie mogli znaleźć soku pomarańczowego. Anita poszła im pomóc w poszukiwaniach, Ewa przypomniała sobie nagle, że właśnie dzisiaj kupili kilka puszek różnych soków, których nie zdążyli wyjąć, i pogoniła Roja do samochodu. Sok pomarańczowy nadlatywał ze wszystkich stron, urastał do rozmiarów wodospadu Niagara, absorbował wszystkie umysły i w ogóle wydawało się, że na świecie nie ma nic innego, tylko sok pomarańczowy. Zgoła nie zdziwiłabym się, gdyby nagle zaczął padać w postaci deszczu.

Znalazła go wreszcie Alicja nie w domu, tylko w składziku, gdzie trzymała zapasy piwa. Z sokiem się trochę uspokoiło, ale za to Elżbieta poczuła się głodna, przyniosła sobie kanapki, bardzo apetyczne, i zaraziła głodem Pawła i Leszka. Alicja, zdenerwowana nieco działalnością Elżbiety w kuchni, znów porzuciła taras i popędziła sama dorobić więcej kanapek. Zosia zaczęła szukać następnego słoika kawy, Ewa zażądała dla Roja ekstramocnych do spróbowania, bo podobno ktoś przywiózł. Anita przez pomyłkę nalala Henrykowi piwa do mleka...

Wieczór się wyraźnie rozkręcał. Wszyscy wykazywali przerażającą ruchliwość i rzadko spotykaną gorliwość w donoszeniu rozmaitych przedmiotów, wszyscy prezentowali niesłychaną inwencję w wymyślaniu nowych pragnień i potrzeb. Pod czerwoną lampą trwały nieruchomo tylko trzy pary butów. Dwie z nich należały do Leszka i Henryka, którzy siedzieli obok siebie, konwersowali w dziwnym, niemiecko-angielskim języku o wadach i zaletach różnych typów jachtów i zajęci

byli sobą tak, że nie zwracali uwagi na resztę towarzystwa, trzecia zaś do Edka. Edek również nie opuszczał swojego miejsca, pod ręką miał wielkie pudło, zastawione zapasem napojów i używał ich bez wyboru i bez ograniczeń.

— Alicja! — ryknął nagle, przekrzykując panujący hałas, przy czym w ryku jego dźwięczała wyraźna naganą. — Alicja!!! Dlaczego ty się narażasz?!!!

Pytanie zabrzmiało tak dziwnie, a przy tym tak potężnie, rozległo się gdzieś w tych ciemnościach tak nieoczekiwane, że wszyscy nagle zamilkli. Edek, ryknąwszy, też zamilkł i zapanowała cisza. Alicja nie udzielała odpowiedzi z tego prostego powodu, że nie było jej na tarasie.

— Znów się zalał — mruknęła niechętnie Zosia skądś od strony domu.

— Alicja!!! — ryknął znów Edek i łupnął głucho szklanką z piwem w wierzch pudła, chlapiąc wokół. — Alicja, do ciężkiej cholery, dlaczego ty się narażasz?!!!

Nogi zawiadomionej widocznie o występie Edka Alicji pojawiły się nagle w czerwonym świetle. Edek usiłował się podnieść, ale opadł z powrotem na fotel.

— Alicja, dlaczego ty się...?!!

— Dobrze, dobrze — powiedziała uspokajająco Alicja. — Edek, nie wygłupiaj się, obudzisz całe miasto.

— Dlaczego ty się narażasz? — ciągnął Edek z uporem, tonem pełnym potępienia, tyle że nieco już ciszej. — Dlaczego ty przyjmujesz takie osoby?! Pisałem ci przecież...!

Eksplozja dobrego wychowania na nowo napęłniła hałasem mrok nad czerwonym kręgiem. Całe zgroma-

dzenie, zorientowane w stanie Edka, gwałtownie usiłowało go zagłuszyć, nie mając pojęcia, co też on może jeszcze powiedzieć, i ze względu na Alicję starając się tego na wszelki wypadek nie usłyszeć. Wysiłki dziewięciu osób uwieńczyło powodzenie, głos Edka zginął w ogólnym wrzasku. Leszek wykrzykiwał do Henryka coś o jakiejś rufie, Anita natrętnie namawiała wszystkich do spożycia dwóch ostatnich kanapek, Zosia głosem Walkirii żądała, żeby Paweł otworzył butelkę piwa...

Alicja przysiadła na poręczu fotela Edka.

— Przestań się wygłupiać, tu jest Dania, tu się nie krzyczy...

— A ja ci pisałem, żebyś uważała! No, pisałem ci przecież!

— Możliwe, ale ja nie czytałam.

— Alicja, woda się gotuje! — zawołała Elżbieta z ciemności.

— Ja ci to zaraz powiem — upierał się Edek. — Jak nie czytałaś mojego listu, to ja ci to zaraz powiem! Jemu też powiem!... Dlaczego ty nie czytałaś mojego listu?...

— Bo mi gdzieś zginął. Dobrze, powiesz mi, ale przecież nie teraz!

— Owszem, ja powiem teraz!

— Dobrze, teraz, niech będzie, tylko zaczekaj chwilę, zrobię ci kawy...

Słuchałam tych fragmentów dialogu nietaktownie i z nadzwyczajnym zainteresowaniem. Alicja poszła robić kawę. Pomogłam jej z nadzieją, że prędkiej wróci i Edek powie coś więcej. Potem trzeba było jeszcze donieść śmietankę, cukier, słone paluszki, więcej piwa,

więcej koniaku, szwajcarskie czekoladki i polski sernik, papierosy i owoce. W drzwiach materializowały się i znikwały niewyraźne sylwetki, pod lampą pojawiały się i znikwały purpurowe nogi. Edek dostał kawy, uspokoił się i zamilkł, wyczerpany widocznie krótkim, acz energicznym przedstawieniem.

— A w ogóle to jeszcze nie koniec — powiedziała nerwowo Alicja, siadając koło mnie. — Jeszcze przyjadą Włodzio i Marianne.

— Dobry Boże! Też do ciebie?!

— Też do mnie. Jeżeli Elżbieta i Leszek wyjadą przedtem, to będę ich miała gdzie położyć, ale jeżeli nie, to chyba im wynajmę hotel. Lada dzień zabraknie mi bielizny pościelowej... Co gorsza, nie wiem, kiedy przyjadą, bo są w podróży.

— Gdzie są w podróży? — spytałam mechanicznie, najazd na Allerød oszołomił mnie bowiem gruntownie i już sama nie wiedziałam, co mówię. W gruncie rzeczy było mi całkowicie obojętne, gdzie przebywają Włodzio i Marianne, przerażające było, że mają przybyć tu.

— Zdaje się, że w Belgii.

— A, to rzeczywiście po drodze. Wiadomo, że Dania leży w prostej linii na trasie między Belgią i Szwajcarią.

— Oni nie wracają jeszcze do Szwajcarii, wybierają się do Norwegii. Czy on śpi?

Spojrzałam na czerwone, nieruchome nogi Edka.

— Chyba tak. Te pokazy go zmęczyły. Będziesz go budzić czy zostawisz tak, jak jest, żeby tu spał do rana?

— Nie mam pojęcia. Ciekawe, co on do mnie napisał...

— A w ogóle dostałaś od niego jakiś list?

— Dostałam. Rzeczywiście nie zdążyłam go przeczytać, bo mi gdzieś zginął. Ktoś mi przeszkodził, akurat jak przysłała poczta, i gdzieś go położyłam, nie wiem gdzie. Usiłowałam go znaleźć przed jego przyjazdem, ale mi się nie udało. Pojęcia nie mam, o co mu może chodzić. Po pijanemu jest zupełnie nieobliczalny.

Zastanowiłam się, czy powinnam jej od razu powiedzieć, jaki interes mam do Edka sama. Możliwe, że to coś, co mnie ciekawi, ma związek z tym czymś, co Edek próbował wykrzyknąć. Możliwe, że Alicja również coś wie... Po namyśle postanowiłam zaczekać. Cokolwiek bym jej powiedziała w tej chwili, z pewnością niczego nie zapamięta. Potem i tak będę musiała powtarzać drugi raz. Nie, na razie szkoda fatygi...

Hasło do zakończenia uroczystości dała Ewa tuż przed północą ku wyraźnemu żalowi wszystkich gości. Alicja zapaliła światło po drugiej stronie budynku, nad drzwiami koło furtki, i wreszcie było coś widać. Cała gromada, wyjąwszy Edka, wyległa wśród pożegnalnych okrzyków na ulicę, obok samochodów Roja i Henryka. Śpiący Edek został pod lampą.

— No, nareszcie spokój! — powiedziała zmęczonym głosem Zosia, kiedy wróciliśmy na taras. — Zostaw, ja posprzątam. Paweł, bierz się do roboty! I zapal światło w pokoju, to tu będzie widniej. Alicja, ty to zostaw, ty się zajmij Edkiem.

— Edka zostaw sobie raczej na koniec — poradziłam, ustawiając na tacy filiżanki. — Lepiej mu przedtem przygotować legowisko i od razu przekopać na miejsce do snu.

— Oddajcie mi Pawła, pomoże mi przenieść pościel — powiedziała Alicja z westchnieniem. — Chwała Bogu, że nie ma nic więcej do oblewania!

Elżbieta pod wpływem ojca przystąpiła do zmywania. Posprzątałyśmy na tarasie, Leszek i Paweł wnieśli do pokoju część krzeseł i foteli i pomogli Alicji w przemeblowywaniu domu na noc.

— Kto śpi na katafalku? — spytałam półgłosem Zosię, usuwając występujące w charakterze stolików pudła.

— Edek — odparła Zosia również półgłosem, żeby Alicja nie słyszała. — Ale myślę, że chyba lepiej będzie położyć go dzisiaj tu, na kanapie. Do katafalku trzeba by go wlec albo po schodach, albo przez trzy pokoje.

— Idź to zaproponować Alicji...

Katafalk stał na podwyższeniu w dwupoziomowym atelier Thorkilda, dobudowanym do reszty domu, i nie był prawdziwym katafalkiem, tylko niesłychanie skomplikowanym łóżkiem dla chorych, nabytym niegdyś z myślą o goszczeniu osób dotkniętych niedowładem. Wysokość tej maszyny, na którą trzeba się było wspinać bez mała jak na górne miejsce w slipingu, nasuwała nieodparcie skojarzenia z gromnicami i wonią kadzidła. Było to miejsce do spania raczej mało przytulne, acz nadspodziewanie wygodne. Alicja czuła dziwną awersję do nadanej mu przez nas nazwy, unikaliśmy zatem określania przy niej tego legowiska mianem katafalku, co przychodziło nam z dość dużym trudem.

— Może macie rację — powiedziała teraz niepewnie, patrząc z daleka na Edka, śpiącego w jednym z pozostałych na tarasie foteli z przechyloną w tył głową. — Rzeczywiście, na kanapę będzie prościej.

— To kto będzie spał na katafalku? — zainteresował się Paweł. — Tfu, chciałem powiedzieć na postumencie...

— Paweł! — wykrzyknęła Zosia z wyrzutem, widząc błysk w oczach Alicji.

— No, tego, na tym stole porodowym — poprawił się Paweł pospiesznie. — To znaczy nie, na stole operacyjnym...

— Paweł...!

— No to ja już nic nie mówię...

— A kto spał przedtem na kanapie? — spytałam gromko, żeby im przerwać te nietakty.

— Elżbieta — odparła Zosia z ulgą. — Elżbieta się przeniesie na to podium... to znaczy, chciałam powiedzieć, na to... łóżko.

— Elżbieta! — zawołała Alicja, wyraźnie przygnieciona komplikacjami. — Będiesz spała w trumnie?

— Mogę spać — odpowiedziała Elżbieta z kamiennym spokojem, pojawiając się w wejściu do kuchni z talerzem w ręku. — Gdzie masz trumnę?

— W atelier.

— Jakiś nowy nabytek? — spytała Elżbieta z grzecznym i umiarkowanym zaciekawieniem. — Nic takiego nie zauważyłam.

— Katafalk — wyjaśniła Alicja zgryźliwie. — Skoro oni to uważają za katafalk, to ja mogę pójść krok dalej, prawda?

— A, katafalk! Proszę bardzo, mogę spać na tym pomniku. Mnie się nigdy nic nie śni. Czy mam spać w pościeli Edka?

— Niekoniecznie, chyba że chcesz...